

Andrzej Ajnenkiel *

Polska w Europie - perspektywa historyczna

Europa stała, nie po raz pierwszy w swych dziejach, na rozdrożu. Z jednej strony ma przed sobą wyzwanie i zarazem szansę odzyskania swego historycznego miejsca w świecie. Z drugiej strony jednak grozić jej może, także nie po raz pierwszy w jej dziejach, słabość, peryferyjność, marginalizacja.

W lapidarnym skrócie dylematy naszego kontynentu zostały przedstawione w prastarym greckim micie „porwanie Europy”. Przypomnijmy: piękna królewna o tym imieniu porwana i uwiedziona przez boga bogów Zeusa, który przybrał postać łagodnego byka, urodziła mu trzech synów. Parantele w konsekwencji zaiste znakomite, zwłaszcza gdy pamiętać będziemy, że Zeus będąc władcą i strażnikiem ustaw i prawa był zarazem, jako Eleutherius, obrońcą wolności, jako Ktesios - obrońcą własności, zaś jako Ksenios - obrońcą cudzoziemców. Do atrybutów jego władzy należało również strzeżenie złożonych przysiąg, troska o trwałość domowego ogniska, nie mówiąc już o tak ważnym (jakkolwiek niekiedy uważanym za prozaiczne) zadaniu, jakim była ochrona plonów. Można więc powiedzieć, że ten grecki odpowiednik Jowisza zarysował w naszym kręgu cywilizacyjnym to, do czego później nawiązało chrześcijaństwo, mianowicie poszanowanie i godność jednostki wpisanej w zdefiniowane prawem struktury państwa.

Tu dochodzimy do pierwszego i zarazem trwałego - mimo wszystkich wahań, zawirowań oraz odstępstw - elementu naszej europejskiej tożsamości. Została ona mianowicie zbudowana na dawnej tradycji wywodzącej się jeszcze z myśli hebrajskiej i wzbogaconej przez myśl grecką. Wartości te stanowiły w ówczesnym świecie, którego byliśmy podówczas małą cząstką, rzecz rzadką, gdyż dotyczyły umiłowania wolności, skojarzonego z rzymskim rozumieniem roli prawa określającym pozycję jednostki działającej w ramach określonej struktury prawnej.

* Prof. dr hab. **Andrzej Ajnenkiel**: dyrektor Wojskowego Instytutu Historycznego.

A więc pierwszy krąg naszej cywilizacji, to szeroko rozumiany świat Rzymu, z tym że siłą rzeczy położony raczej po naszej stronie Morza Śródziemnego. Dodajmy, że wówczas i Azja Mniejsza stanowiła część tak rozumianej Europy, a ściślej mówiąc, tak rozumianej cywilizacji helleńsko-rzymskiej. Trwale ślady, wyraźne więzi międzykulturowe z tą geograficznie „nieeuropejską” dziś częścią naszego kontynentu są mimo wszystko nadal żywe w czasach współczesnych. Upadek cywilizacji rzymskiej przynosi wprawdzie kryzys, lecz stanowi zarazem początek nowych zjawisk na naszym kontynencie. To bowiem, co zdefiniowany przeze mnie wyżej „krąg pierwszy” wniósł do naszego rozwoju stało się dorobkiem tak Europy, jak i całego świata. Istnieją przecież nadal nie tylko ruiny Colloseum, ale i rzymska myśl prawnicza i co chyba z perspektywy historycznej najważniejsze, pozostała struktura będąca elementem stabilizacji, mianowicie pozycja biskupa Rzymu.

Elementem kontynuacji, a zarazem twórcą nowego systemu wartości staje się bowiem chrześcijaństwo. Nawiązuje ono i zarazem rozszerza to, co stanowiło dziedzictwo Rzymu. Sięga też po obszary, po ludy stanowiące dla Rzymu peryferie. Tak powstaje nowe cesarstwo pod berłem Karola Wielkiego. Sięga ono poza Ren; Ren, o którym tysiąc lat później powie Wiktor Hugo, że jest sercem zachodniej Europy. Jednocześnie po cesarstwie Karola Wielkiego pozostaje trwały i konkretny spadek określający kierunek rozwoju nowoczesnych państw zachodniej Europy, Francji przede wszystkim, dalej Niemiec, państw Beneluksu, Włoch.

Cesarstwo Karola Wielkiego powstało, w jakimś przynajmniej stopniu, w wyniku powstrzymania naporu islamu. Jego symbolem, jak wiemy, stało się zwycięstwo Karola Młota w bitwie pod Poitiers w 732 r. Zwycięstwem tym, nabierająca sił średniowieczna Europa odpowiedziała na wyzwanie, jakie stanowił w tym czasie islam - cywilizacja prężna, kultura dominująca pod pewnymi względami nad ówczesną Europą. Zwycięstwo militarne musiało w konsekwencji spowodować konieczność modernizacji tej części naszego kontynentu, która oparła się islamowi, bez tego bowiem wysiłku Europa nie byłaby w stanie rozwijać się i utrzymać swej integralności. Wstrzymanie militarnego pochodu Arabów stało się w konsekwencji nie tylko impulsem w procesie rozwoju i jednoczenia się Europy, lecz przyczyniło się także do jej ideowej, duchowej integracji.

Koniec pierwszego tysiąclecia. Europa rozszerza się, obejmuje obszary Skandynawii oraz te tereny zamieszkane przez plemiona germańskie, które pozostały na zewnątrz systemu cywilizacyjno-kulturowego stworzonego przez Karola Wielkiego i jego następców. W okresie tym powstają również takie struktury państwowe jak Czechy, Polska, Węgry, Ruś. Ich wspólnym elementem, przy etnicznej i kulturalnej różnorodności, jest przynależność do świata chrześcijańskiego z jego systemem wartości, normami prawnymi

i instytucjami gospodarczymi. A więc owa *civitas christiana* - podzielona, walcząca między sobą, skonfliktowana wskutek sporu o pozycję władzy duchowej i świeckiej - dzięki swej różnorodności i wzajemnemu przenikaniu się przyczynia się do umacniania i krzepnięcia tożsamości naszego kontynentu. I tu dochodzimy do kolejnego elementu tożsamości europejskiej. Cechuje go swoista jedność w różnorodności.

Powstawanie nowych struktur czy organizmów państwowych nie oznaczało ich przymusowej unifikacji, nie spowodowało - i to jest właśnie specyfiką naszego kontynentu - ukształtowania się w Europie jednego ośrodka zdecydowanie dominującego nad innymi. Ani zamiary kilku papieży stworzenia z władzy duchowej czynnika stanowiącego polityczną władzę Europy, ani inne działania, nazwijmy je „integracyjne” w postaci na przykład Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego nie doprowadziły do sytuacji, w której ta swoista europejska równowaga byłaby unicestwiona. Uczony z uniwersytetu Yale, profesor Paul Kennedy w głośnej, przetłumaczonej niedawno na język polski książce¹ stwierdza, że specyfiką, a zarazem elementem tożsamości europejskiej jest rola małych państw, niekiedy państw-miast. Konkurując ze sobą wyzwalały one energię, pozwalającą na stopniowe zajęcie przez Europę dominującej pozycji w systemie światowym.

Konstatujemy więc kolejny element tożsamości europejskiej - jej dynamikę, jej różnorodność. Tam, gdzie tej dynamiki i różnorodności zabrakło obserwujemy zjawiska peryferyjności oraz stagnacji. I tutaj trzeba przypomnieć, że moment chrztu Polski stanowił czynnik, za pośrednictwem którego nastąpiła integracja struktur plemiennych w zwartą, trwałą i jak się okazało, silną państwowość. Jednocześnie wejście w system rządzący się określonymi wartościami duchowymi wpłynęło na to, że nasze państwo (tak jak czeskie i węgierskie) znalazło się w orbicie oddziaływania cywilizacji i kultury zachodnioeuropejskiej. Zarazem państwa nasze znalazły się w tej strukturze nie tylko w charakterze tych, którzy brali, ale również jako ci, którzy dawali. Dawali nowe spojrzenie na losy naszego kontynentu, nowe doświadczenia, także pragnienie zachowania własnej tożsamości. Myślę, że zbliżające się obchody tysiąclecia śmierci św. Wojciecha wykażą nie tylko duchowy, ale zarazem i materialny wymiar ówczesnego procesu integracji europejskiej mającego miejsce w naszej części kontynentu; procesu, który sprawił, że od owego momentu staliśmy się trwałym elementem systemu europejskiego. Oczywiście mamy w naszym rozwoju okresy wyraźnego wzrostu, widocznego przynajmniej do XVI w., ale mamy także symptomy peryferyjności i stagnacji. Warto przypomnieć, że pod tym względem wysnuwano paralele, a czynił to m.in.

¹ P.Kennedy, *Mocarstwa świata: narodziny, rozkwit, upadek, przemiany gospodarcze i konflikty zbrojne w latach 1500-2000*, Książka i Wiedza, Warszawa 1994.

Lelewel, pomiędzy losami Polski i Hiszpanii, jako wielkich struktur państwowych kontynentu, które przeżywały zarówno okresy wzrostu, jak i wyraźnej stagnacji.

Innym elementem łączącym, tworzącym wspólnotę cywilizacyjną, stały się w średniowieczu uniwersytety stanowiące niespotykany dotąd przykład jedności i łączności psychicznej, ale także więzi osobistych pomiędzy ówczesnymi elitami umysłowymi - była to słynna *civitas* uniwersytecka. Owa wspólnota uczonych, którzy za pomocą wehikułu, jakim była łacina, potrafili w całej cywilizowanej Europie znaleźć swoje miejsce, potrafili wszędzie twórczo pracować i przyczynić się do rozwoju krajów, w których przebywali. Dochodziły do tego peregrynacje artystów oraz artystów rękodzieła również stanowiące materialny wyraz europejskiej jedności. Granice kontynentu wyznacza ponadto architektura - rozmieszczenie budowli romańskich, gotyckich czy wreszcie baroku.

Civitas christiana zaczyna ulegać rozpadowi w XI w. Wcześniej jeszcze słabnie więź między jej częścią zachodnią, związaną z Rzymem, a wschodnią, znajdującą się pod wpływami Bizancjum. Bizancjum znajdujące się - wyprawy krzyżowe były tego zresztą wyraźnym dowodem - w stanie długotrwałego kryzysu, mimo wszystko odegrało, chciałbym to wyraźnie podkreślić, ogromną rolę jako bezpośredni łącznik i bezpośredni dziedzic, co prawda nieco przekształconych, tradycji rzymskich. Po jego upadku do odgrywania podobnej roli aspiruje, nie bez powodzenia, Moskwa, zgodnie z ówczesnymi doktrynami określana jako Trzeci Rzym.

Granica między obydwoma systemami jest jednak coraz wyraźniejsza. Na Zachodzie mamy do czynienia ze swego rodzaju płynną równowagą pomiędzy władzą świecką a duchowną, a także między różnymi władzami świeckimi. „Trzeci Rzym” wytwarza natomiast zupełnie inny model. Na zewnątrz nastawiony jest na ekspansję, będącą jego *ratio* istnienia. Wiąże się to z autokratycznym modelem państwa. Znow należałoby zapytać, na ile wpłynął na to - a wpłynął - okres długiej niewoli tatarskiej; na ile wpłynęła na to więź cywilizacyjna i kulturowa z ogromnymi przestrzeniami azjatyckimi rządzącymi się innymi regułami postępowania. W konsekwencji powoduje to powstanie modelu nie przystającego do systemu zachodnioeuropejskiego. Wschodnia despotia, w której wszystkich, poddanych oraz tych, którzy tymi poddanymi mają się stać, obowiązuje bezwzględna podległość i uległość wobec władzy. Przy czym władzę tę wzmacnia traktowanie panującego jako głowy Kościoła, któremu poddani dodatkowo winni są okazywać cześć taką, jak namiestnikowi boskiemu na ziemi. Ta różnica, ten model struktury myślowej, narzucony przez prawosławie w jego moskiewskim, a później rosyjskim wydaniu, wpływa na zarysowanie się wyraźnej granicy pomiędzy obiema częściami naszego kontynentu.

Kolejny problem. Pamiętajmy, że do czasu odkrycia, a nawet później, do zdobycia Ameryki, Europa to patrząc „z zewnątrz” drobna część świata, nie mająca większego wpływu na to, co dzieje się na innych, samoistnie rozwijających się kontynentach. (Przede wszystkim dotyczy to Azji.) Jednocześnie - i tu mamy do czynienia ze zjawiskiem, które także stanie się elementem tożsamości europejskiej - znaczna część kontynentu stanowi swoiste *antemurale*, czyli przedmurze. Dotyczy to obrony przed Arabami, potem rekonkwisty Hiszpanii. Na drugim krańcu kontynentu trwa walka z Tatarami, a następnie, aż po odsiecz wiedeńską, toczona są na południu, wschodzie i w centrum boje z Turkami. Taki stan rzeczy stwarzał realne zagrożenie, że Europa przestanie być „europejska”, a stanie się w znacznej mierze otomańska. Powodowało to ukształtowanie się swoistej tożsamości obronnej, swoistego mitu. Jego składnikiem był również element świadomości, szczególnie wyraźny w naszej części kontynentu. Polacy, Węgrzy, Chorwaci, Serbowie odczuwają to zagrożenie jako element autoidentyfikacji kulturowej. Nie jest to chyba prosta ksenofobia, bo przecież jednocześnie np. Polska stanowi bardzo wyraźnie swego rodzaju pomost między europejskim Wschodem i Zachodem. Takim samym pomostem były Węgry, nie mówiąc już o państwach, które ze swoich kontaktów z Lewantem czerpały ogromne zyski. W każdym razie zjawisko konieczności obrony jako czynnika kształtującego tożsamość występuje na obszarach znacznej części Europy.

Dopiero w XVI w. Europa staje się kontynentem, który oddziałuje coraz wyraźniej na losy świata, by aż po wiek XIX decydować o nich niemal niepodzielnie. Stanowi to w jakimś sensie również część europejskiej świadomości. Można powiedzieć, że ów element świadomości, swego rodzaju poczucie globalizmu czy imperializmu - nie nadają temu określeniu w tym przypadku negatywnej konotacji - widoczny w postawach wielu Europejczyków (w szczególności z Europy Zachodniej) u nas nieomal zupełnie nie występował. Nie mieliśmy przecież kolonii, a wręcz odwrotnie, w czasach gdy bardziej szczęśliwe narody budowały swe większe i mniejsze imperia, my padliśmy ofiarą zaborczości sąsiadów. Stanęliśmy przed dramatycznymi dylematami: jak utrzymać narodową tożsamość, jak „wybić się na niepodległość”?

Gdybym chciał wskazać z kolei na inny element, wyraźniej niż poprzedni lokujący nas w nurcie europejskiego kanonu wartości, to uwypukliłbym świadomość posiadania praw podmiotowych. Poczucie to miała szczególnie rozwinięta szlachta, owa w znacznym stopniu multietniczna, multikulturowa polska klasa polityczna stanowiąca kościół Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie należy przy tym zapominać, że klasa ta liczyła ponad 10% całego społeczeństwa i wytwarzała określone wzory postępowania. Stosunkowo długo przy jej ocenie dominował negatywny stereotyp, zaś termin sarmatyzm (stanowiący skrótowe określenie elementów kultury materialnej, obyczajów,

a nawet systemu wartości dominującego wśród szlachty polskiej w czasach nowożytnych) miał tylko jednoznacznie krytyczne konotacje. Od pewnego jednak czasu na kwestie te patrzymy w sposób bardziej zniuansowany. (Chciałbym przywołać tu np. studia prowadzone przez Janusza Tazbira.)

W rozważaniach tych chciałbym zarazem zwrócić uwagę na istotny, jakkolwiek na ogół pomijany, aspekt dziedzictwa mentalności i sposobu postępowania typowego dla społeczeństwa szlacheckiego. Należy pamiętać, że umiało ono - w warunkach, gdy egzekutywa aparatu państwowego była z reguły słaba - wytworzyć swoiste struktury zastępcze w postaci specyficznej formy, którą dziś nazwalibyśmy społeczeństwem obywatelskim. Wykształcało to zdolność do samodzielnego, samorządnego działania oraz improwizacji. Objawiało się to nie tylko w sytuacjach kryzysowych wymagających umiejętności samoorganizacji oraz - gdy było to konieczne - zdolności do stawiania oporu. Zdolności te Polacy musieli niestety rozwinąć już w XVIII w. Odtąd też często musieliśmy działać i walczyć w najtrudniejszych okolicznościach.

Zasada *contra spem spero* (mieć nadzieję wbrew nadziei) jest także elementem naszej tożsamości. Stanowi również ten nieuchwytny psychiczny czynnik, który wnosiliśmy i wnosimy do dziejów Europy. Nasze dziewiętnastowieczne boje, toczone pod hasłem „Za waszą i naszą wolność” są nie tylko elementem kształtującym naszą tożsamość, ale zarazem mentalnym i jednocześnie materialnym wkładem do dziejów Europy. I tej osiemnastowiecznej, gdy walcząca o swą wolność Francja uzyskała wsparcie ze strony powstania, które wybuchło nad Wisłą i Niemnem, i tej dziewiętnastowiecznej, kiedy to kolejne polskie powstanie ratowało powstającą do niepodległego bytu Belgię przed rosyjską interwencją, by nie wspomnieć o Polakach bijących się o wolność Węgier. Tradycji tej pozostaliśmy wierni i w wieku dwudziestym. Można też zadać sobie pytanie: czy Europa nie zawdzięcza niczego naszej ostatniej, bezkrwawej „solidarnościowej” rewolucji?

Europa wieku XVIII wytworzyła dwa co najmniej modele realizowania koniecznych przeobrażeń społeczno-politycznych. Pierwszym z nich jest model rewolucyjny. Przypnę szczerze, że przynajmniej od czasów Pawła Jasionicy patrzę nań z pewną powściągliwością, by nie powiedzieć obawą. Nie jestem zwolennikiem jakobińskiego modelu rozwiązywania problemów. Stał się on - niestety - wzorcem, aczkolwiek niebezpośrednim, dla dwudziestowiecznych totalitaryzmów, zarówno czerwonego jak i brunatnego.

Mnie osobiście, ale chyba nie tylko mnie, bardziej odpowiada drugi model - model przemian ewolucyjnych. Osiemnastowieczna Wielka Brytania, z jej stopniowym kształtowaniem instytucji konstytucyjnych i wreszcie nasze rozwiązania, brutalnie przerwane przez zaborców, w postaci przede wszystkim Konstytucji 3 Maja. Tu pozwolę sobie na przytoczenie cytatu: „*Przy wszystkich*

swoich wadach konstytucja ta widnieje na tle rosyjsko-prusko-austriackiej barbarii jako jedyne dzieło wolnościowe, które kiedykolwiek Europa Wschodnia samodzielnie stworzyła. I wyszła ona wyłącznie z klasy uprzywilejowanej, ze szlachty. Historia świata nie zna żadnego innego przykładu podobnej szlachetności szlachty”. Jest to ocena sformułowana przez Karola Marksa.² Zgadając się całkowicie z tą oceną, chciałbym zauważyć zarazem, iż Marks niedoszacował jednak naszego wkładu w myśl europejską i duchowy rozwój kontynentu. Niemniej ukazanie znaczenia Konstytucji jest niezwykle istotne z bardzo prostego powodu. Wskutek tragicznego dla Polski biegu wydarzeń nasza ustawa zasadnicza stała się przede wszystkim swego rodzaju zapisem, który nie został zrealizowany, testamentem polskich dążeń reformatorskich. Zaborcy zaś robili wszystko, aby zniknął on nie tylko z powszechnej świadomości, ale i historii europejskiej myśli demokratycznej. To samo dotyczy tradycji Konfederacji Warszawskiej z 1573 r., z jej formułą wolności religijnej oraz całego szeregu innych dokumentów i naszej praktyki konstytucyjnej, która w XVI i XVII w. napotykała szeroki rezonans w teorii i praktyce ówczesnego parlamentaryzmu europejskiego. To samo *mutatis mutandis* dotyczy także naszych średniowiecznych doświadczeń w tym zakresie (podobnie jak i doświadczeń węgierskich).

Sprawa jest istotna również z tego powodu, że do czynników wpływających na specyfikę Europy, kształtujących jej zbiorową tożsamość należy także i to, że właśnie na naszym kontynencie wykształciły się: nowocześnie pojmowany parlamentaryzm, prawa socjalne, koncepcja państwa prawa. Prawa, które obejmuje - co jest w cywilizacji współczesnej niezbędne - ochronę pracujących oraz słabszych i chorych, w tym zwłaszcza kobiet i dzieci. Kapitalizm - także nasz europejski wynalazek - stwarzając niespotykane dotąd w dziejach możliwości wszechstronnego rozwoju, musi zarazem posiadać konieczne elementy samokorygujące. Takim właśnie elementem koniecznej korekty stała się zarówno myśl socjalistyczna (też mająca przecież źródło europejskie), jak i socjalna myśl Kościoła, by przypomnieć encyklikę *Rerum novarum*. Nowoczesne struktury organizacji życia zbiorowego w postaci partii politycznych, związków zawodowych, systemów ubezpieczeń społecznych czy spółdzielczości to także elementy nowożytnej tożsamości europejskiej. I znów w tym zakresie my Polacy, mimo największych trudności, mimo przeszkód czynionych przez zaborców, nie odbiegaliśmy od ówczesnych norm europejskich.

Pierwsza wojna światowa przynosi kres europejskiej dominacji. Druga wojna - wyraźne zmarginalizowanie Europy. Pierwsza zakończyła okres hegemonii tradycyjnych mocarstw na kontynencie, swoistej równowagi między

² K.Marks, *Przyczynki do historii kwestii polskiej. Rękopisy z lat 1863-1864*, Książka i Wiedza, Warszawa 1971, s.153.

nimi. Powstało dziewięć nowych państw narodowych, chociaż nie wszystkim narodom udało się ową niepodległość uzyskać. (Należy tutaj podkreślić, że najbardziej przegranym, bo najbardziej do tej niepodległości gotowym był naród ukraiński.) Po wojnie tej następuje jednak znamienne odwrócenie proporcji. Gdy wcześniej w naszej części kontynentu co najwyżej 1/3 mieszkańców korzystała z praw, wynikających z przynależności do własnego państwa, teraz sytuacja uległa całkowitej zmianie. Mimo to duża - chciałoby się powiedzieć: za duża - część ludności uważała się za obywateli drugiej kategorii. Stąd było źródło konfliktów narodowych, w tym szczególnie źródło antysemityzmu, owego - według głośnego określenia Augusta Bebla - „socjalizmu głupców”. Ale mimo wszystko Europa między I i II wojną światową mieści się w normie przyzwoitości. To samo dotyczy Rzeczypospolitej. Mimo konfliktów, mimo faktu, że część ludności, wrogo niekiedy do państwa nastawiona, była traktowana jako obywatele drugiej kategorii, to jednak należy położyć nacisk na słowo obywatele, a nie na kategorie. I to był czynnik również sytuujący nas w demokratycznej Europie.

Okres międzywojenny przynosi dwa wielkie zagrożenia: komunizm i faszyzm, ten ostatni zwłaszcza w hitlerowskim, nazistowskim wydaniu. I tu niestety trzeba powiedzieć, że europejskie elity umysłowe i polityczne nie były przygotowane do walki z obiema formami totalitaryzmu. Być może bardziej umiały, chociaż nie od razu, przeciwstawić się totalitaryzmowi hitlerowskiemu. Wobec totalitaryzmu sowieckiego, jego propagandy, jego metod, ówczesna Europa była, użyję tego określenia, ślepa na jedno oko. Jakkolwiek - nie wiem, czy nas to rozgrzesza, czy jest to tylko tytuł do smutnej refleksji - pierwsza zbrodnia porównywalna z holocaustem miała miejsce na obrzeżach Europy, w Turcji. Myślę oczywiście o losie i sprawach Ormian. Wkrótce potem czerwony terror i brunatna dyktatura zaczynają dominować w Europie. Europie zaś zabrakło woli politycznego działania. W każdym razie ówczesne tendencje integracyjne, z wielką koncepcją Aristide'a Brianda na czele, rozmijały się z europejską rzeczywistością, z polityką *appeasementu*, z polityką swego rodzaju autarkii gospodarczej, czyli nacjonalizmu gospodarczego, z polityką przechodzenia do porządku dziennego nad interesami naszej części kontynentu. Wszystko to przyczyniło się, mówiąc w największym skrócie, do tego, że Europa wpadła w sidła dwóch dyktatur.

Pakt Ribbentrop-Mołotow oznaczał kres cywilizacji europejskiej w jej dotychczasowym kształcie, według jej dotychczasowych zasad. Dwa totalitaryzmy dokonały podziału naszego kontynentu i nie było siły zdolnej im przeszkodzić. Cios powojennej Europie, którą określam terminem Europy Wersalsko-Ryskiej, został zadany właśnie przez pakt Ribbentrop-Mołotow. Pocięchą, problematyczną ale jednak pocięchą, może być fakt, że na ostatnim posiedzeniu Liga Narodów potępiła sowiecką agresję na Finlandię. Niestety

z przyczyn, o których trzeba byłoby długo mówić, nie padło jednak ani jedno słowo potępienia agresji przeciwko Polsce. Niemal nic nie robiono również, aby ratować mordowanych przez hitlerowców Żydów.

Stanowisko takie było elementem polityki, która w coraz większym stopniu oddziaływała na bieg II wojny światowej. Niestety dla całej Europy było to, że jeden totalitaryzm był zwalczany za pomocą drugiego od chwili, gdy obydwie te systemy, do tej pory wspólnie pracujące na zgubę Europy, weszły ze sobą w ostry konflikt. A to spowodowało, że cała wolnościowa, wybiegająca w przyszłość myśl w odniesieniu do naszej części kontynentu - jej wyrazem była Karta Atlantycka - przestała w praktyce od początku obowiązywać. Kompromisy z Sowietami spowodowały, że ponownie, naprawdę czy na niby, nasi sojusznicy przestali widzieć na wschodnie, prosowieckie oko. I nie zauważali - czy nie chcieli zauważać - że zmuszają nas, abyśmy i my nie dostrzegali dokonywanych na nas zbrodni.

I teraz przychodzi Jałta, będąca przecież prostą kontynuacją decyzji podjętych w sierpniu 1939 r. w Moskwie i przynosząca oddanie Sowietom znacznej części Polski oraz znacznej części Europy. Tutaj niezbędna uwaga. Upłynęło od tego czasu lat przeszło pięćdziesiąt. O terytorialnych i ludnościowych konsekwencjach decyzji jałtańskich możemy mówić dziś jedynie w kategoriach historycznych. Nie można bowiem wyobrazić sobie próby podważenia rozwiązań decydujących o współczesnym kształcie Europy, mimo że u ich źródła leżała zbrodnia. W każdym razie trzeba przypomnieć, że zarówno pakt Ribbentrop-Mołotow, jak i decyzje jałtańskie oznaczały dla Polski utratę części jej terytorium oraz faktyczne wyrażenie zgody na utratę przez nas suwerenności. Oznaczały także akceptację podbicia przez Sowietów państw bałtyckich, części Rumunii, by tylko na tych przykładach zakończyć. W każdym razie od Jałty następuje wyraźny podział Europy: z jednej strony strefa wolności, podczas gdy druga część kontynentu zostaje podporządkowana sowieckiemu dyktatowi.

„Żelazna kurtyna” zapadła przecież nie wtedy, gdy powiedział o niej publicznie Winston Churchill w marcu 1947 r. w Fulton. Kurtyna ta zaczęła opadać już w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy to armia sowiecka stanęła za Wisłą i czekała z rozkazu Stalina na agonię Warszawy. Zaczęła zapadać od razu w państwach bałtyckich. Jej ofiarami stali się też ci żołnierze sowieccy, którzy znaleźli się w niemieckiej niewoli, a potem również ci, którzy dotarłszy w walce z Niemcami na Zachód zobaczyli jak tam, pomimo zniszczeń, sytuacja wygląda naprawdę, wobec czego „na otarcie rogów” (jak określił to Solżenicyn) zostali skierowani do gułagów. Tak naprawdę „żelazna kurtyna” powstała znacznie wcześniej. Władze sowieckie zaczęły budować ją po 1917 r., kiedy to bolszewicy szykując się do zanieśienia rewolucji na bagnietach na Zachód, *de facto* odcięli się od Europy.

„Zimna wojna”. Według niektórych historyków, zaczyna się ona w momencie, gdy Sowieci odmówili zgody na lądowanie na swoich terenach samolotów amerykańskich mających za pomocą lotów wahadłowych z Włoch udzielić materialnej pomocy Powstaniu Warszawskiemu. „Zimna wojna” ma swoją dynamikę, swoje etapy. Nam przynosiła, podobnie jak „żelazna kurtyna”, poczucie pozostawienia na łasce sowieckiego imperium, świadomość wtapienia w sowiecki model bytowania. Dla krajów położonych z tamtej strony Łaby „zimna wojna”, chwilami balansująca na krawędzi wojny „gorącej” i przynosząca poczucie realnego sowieckiego zagrożenia, stanowiła potężny impuls do procesów integracyjnych. Byłoby bardzo źle dla przyszłości Europy, gdyby oddalenie się, przynajmniej dziś, tego niebezpieczeństwa spowolniło pogłębienie i rozszerzanie działań integracyjnych. Należy bowiem pamiętać, iż niejednokrotnie wzajemne animozje lub wywodzące się z przeszłości resentymenty (zwłaszcza w sytuacji zanikania wielkich, zagrażających wszystkim niebezpieczeństw) wpływają na zbiorowe emocje, a przez to oddziałują na bieżącą politykę różnych państw europejskich. Kwestie te znalazły omówienie w bardzo ciekawej, jakkolwiek chyba zupełnie u nas nie zauważonej, pracy historyków z ośmiu krajów europejskich pt. *The long way to Europe* wydanej pod redakcją wybitnego uczonego niemieckiego Wolfganga Momsena. Książka ta dobrze ukazuje trudności na drodze do budowania wspólnej Europy.

Gdy z tamtej, „lepszej” strony „żelaznej kurtyny” postępowały procesy integracyjne, po naszej stronie trwała unifikacja według sowieckiego wzorca. Towarzyszyło jej poczucie izolacji, a zarazem zawodu i rozczarowania, że znów zostaliśmy pozostawieni na marginesie. Akceptowano także - często *bona fide* - konieczność przystosowania się do tego, co się tutaj stało. Zjawiska te zostały niezwykle ciekawie przedstawione w książkach Miłozza: *Zniewolony umysł* i *Zdobycie władzy*.

Trwający niemal pół wieku stan odizolowania przyniósł konsekwencje, których skutki trwają do dziś i które należy przewidywać z obu stron. Dotyczy to i nas, zmieniających się mentalnie i naszych partnerów, naszych sojuszników, którzy muszą pamiętać, że mamy prawo w niektórych przypadkach być sceptyczni. Chciałbym, żeby w naszym kraju wytworzył się logiczny, sensowny, konieczny, konstruktywny sposób myślenia. Nie „euro optymizm” - to byłoby prawdopodobnie za dużo - ale po prostu „eurorealizm” wskazujący na konieczność naszego współdziałania. Przy czym po 1945 r. mimo wszystko „żelazna kurtyna” nie była tak szczelna, jak pragnęli tego jej twórcy. Niestety, nie była ona zarazem tak słaba, jak my Polacy byśmy sobie tego życzyli.

Niemniej jednak - i to stanowi element specyficzny, określający naszą sytuację - społeczeństwo polskie nigdy właściwie nie dało się odciąć od „wolnego świata”. Ogromną rolę odegrała tutaj emigracja i to nie tylko w sensie moralnym, jako symbolu trwania, jako symbolu suwerenności, niepodległości

się z jałtańskim dyktatem i jałtańską praktyką. Emigracja służyła jednocześnie ogromną, realną pomocą ideową (kultywując trwanie wolnej polskiej myśli na Zachodzie) oraz pomocą instytucjonalną. Wreszcie *last but not least* była to pomoc widoczna w życiu codziennym, bezpośrednia, realna więź między emigracją a krajem w postaci paczek, przekazów pieniężnych, kontaktów osobistych mających miejsce pomimo przeszkód i utrudnień, a nawet represji.

Wszystko to powodowało, że Polacy czuli się niezupełnie izolowani od świata czy pozostawieni samym sobie. To pociągało za sobą pewną idealizację świata zewnętrznego, widzenie go nieraz jak witryny luksusowego sklepu, do którego bardzo łatwo można dostać kartę kredytową. Dzisiaj stan taki powoduje konieczność nie tylko edukacyjnego, ale i mentalnego przystosowywania się do reguł gry obowiązujących w normalnym, wolnym świecie. Wiedzy tej, a zarazem zrozumienia, czym jest w praktyce nowoczesna demokracja, przez pół wieku nam brakowało. Na szczęście istniały, o czym była już mowa wyżej, nieprzerwane więzi także w dziedzinie duchowej. Ze światem normalnych wartości cały czas łączył nas Kościół - nie muszę tu przypominać, czym dla Polaków stał się wybór Jana Pawła II. „Żelazną kurtynę” przełamywało stale wolne radio. Rolę nie do przecenienia, jako źródło prawdziwej informacji, jako substytut swobodnej opinii publicznej, odegrało Radio Wolna Europa będące łącznikiem z „wolnym światem” i zarazem narzędziem ponownego upodmiotowienia Polaków. Niezwykle ważnym czynnikiem sprawczym przemian w naszej części kontynentu stała się „Solidarność” oraz nazwisko-symbol: Lech Wałęsa.

Czas na konkluzje. Polska jest jeszcze w fazie, którą określiłbym jako nasze „europejskie pięć minut”. Jeszcze jesteśmy w stanie szybko, mając za sobą zainteresowanie państw europejskich, czynić zabiegi i działania przybliżające nas do Europy. Oczywiście mamy świadomość pewnych obaw.

W społeczeństwie - zresztą komuniści przez lat pięćdziesiąt wygrywali ten argument - istnieje poczucie pewnego zagrożenia ze strony Niemiec. Dziś na szczęście sytuacja jest inna niż przed pół wiekiem. Rozumiemy zarówno my, jak i nasi zachodni sąsiedzi, potrzebę współdziałania oraz bliskiej współpracy. Trudno sobie zresztą wyobrazić spokojny rozwój Europy w sytuacji, gdyby została utrzymana w takiej czy innej postaci, choćby karykatury swego pierwowzoru, jakaś mała „żelazna kurtynka” na Odrze. Nie leży to w naszym interesie.

Trzeba zastanawiać się nad techniką integracji. Obawa polskiego rolnika przed skutkami Wspólnej Polityki Rolnej jest przecież racjonalna i w naszym interesie leży, abyśmy te kwestie rozwiązyali w sposób kompromisowy. Istnieje ponadto konieczność zachowania w zjednoczonej Europie własnej tożsamości przez poszczególne narody. Jak już podkreślaliśmy, Europa nigdy w swej historii nie była zdominowana przez jeden język, jedną strukturę polityczną,

jeden system rządzenia. Również i dziś należy znaleźć racjonalne rozwiązania pomiędzy „Europą ojczyzn”, używając określenia generała de Gaulle'a, a koncepcjami federacyjnymi, które niekiedy są widziane jako metoda biurokratycznego decydowania o większości problemów europejskich; pomiędzy „Europą regionów” a zarazem koniecznością spójności struktur państwowych. Wszystko to są jednak swoiste **problemy wzrostu**, kwestie w gruncie rzeczy optymistyczne. Nasze „europejskie pięć minut” jeszcze jest przed nami.

Chciałbym na zakończenie strawestować słowa François Mitterranda: „*Polska jest naszą Ojczyzną, Europa - naszą przyszłością*”.